

HELENA LEMAN

Ten dzień, 9 lipca 2003 r., Wojciech Pomorski – germanista, prezes Polskiego Stowarzyszenia Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech, zapamięta do końca życia. Pracował wtedy w firmie budowlanej jako *vertriebsleiter* (kierownik sprzedaży). Wracając o godz. 15 do mieszkania w Hamburgu, kupił po drodze dla córeczek cztery porcelanowe figurki zwierząt. W domu jednak nikogo nie zastał. Przed wejściem stał samochód żony i chociaż nie było w nim fotelików dla dzieci, początkowo nie wzbudziło to podejrzeń Pomorskiego. Poważnie zaczął się niepokoić dopiero pod wieczór, gdy zegar pokazał wpół do ósmej. O tej godzinie córeczki chodziły spać. Gdy minęła dziewiąta, dziesiąta, a telefon żony wciąż milczał i nikt nie odpowiadał na SMS-y, nagle przypomniał sobie zdanie rzucone przez nią w kwietniu po uroczystości rodzinnej u niemieckich teściów. – Zabiorę dzieci ze sobą – oświadczyła mu nagle bez związku. Przerazony zaczął przeszukiwać szafy – znalazł w nich tylko puste kartony.

Następnego dnia rano zawiadomił policję o uprowadzeniu. Ta zapewniła go, że dziewczynki są bezpieczne, ale nie może ujawnić miejsca ich pobytu. Zdesperowany kupił bukiet kwiatów i udał się do domu teściowej. Drzwi otworzył mu ojczym żony z bejsbolem w ręce. Kazał mu się wynosić i zagroził wezwaniem policji. – Ich tu nie ma! Nie ma! – krzyczał. Po tej wizycie Pomorski załamał się. Żył jak we mgle, prawie wariował. Dzień po dniu dzwonił i dzwonił, i wciąż nic. Raz przyszło mu do głowy, aby się uwolnić od tej dręki, stanąć na krawędzi balkonu i polecieć. Spróbował, ale nie poleciał, trafił na psychoterapię, trochę się po niej pozbiarał. Dzieci udało mu się zobaczyć dopiero po dwóch latach.

– Dzięki policji córeczki odnalazłem w Wiedniu – opowiada. – Już prawie nie mówili po polsku. Drugie spotkanie miało miejsce po roku, a ostatnie, po czterech latach kompletnej rozłąki i izolacji, 12 lutego 2010 r. Przez osiem lat widziałem je w sumie 16 godzin, wyłącznie pod nadzorem. Podczas pierwszego spotkania młodsza córeczka Iwonka płakała, gdy ją odciągano ode mnie. Miała zaledwie trzy i pół roku, kiedy ją straciłem, była moją iskiereczką, moim światłem. Starsza Justynka, bardziej przebojowa, chodziła już w zerówce na lekcje języka polskiego, chciała uczęszczać do polskiej szkoły przy Konsulacie Generalnym RP w Hamburgu, do której razem z byłą żoną ją zapisaliśmy. Pięknie mówiła w naszym języku; śpiewała piosenki, w lot uczyła się wierszyków. Niestety podczas tych trzech spotkań nie wolno nam było rozmawiać po polsku. Wysyłałem dzieciom listy i paczki, ale one ich nie dostały. Od kilku lat nie mam ich aktualnego adresu. Sąd w Wiedniu już rok ignoruje wszelkie moje prośby o spotkania.

W styczniu 2011 r. austriacki sąd pozbawił Wojciecha Pomorskiego praw rodzicielskich. Mężczyzna o tym fakcie dowiedział się od znajomych. – Zadzwonili do mnie z Austrii i poinformowali, że 20 stycznia w „Die Presse” ukazał się artykuł opisujący moją sprawę. Napisa-

Polski ojciec kontra niemieckie prawo

Podstawową zasadą w Niemczech i Austrii jest to, że w przypadku rozpadu małżeństwa dwunarodowościowego to obcokrajowiec traci dziecko

no w nim wprost, że już nie mam praw rodzicielskich. O wyroku nie poinformował mnie nawet mój austriacki adwokat z urzędu – wyjaśnia. Artykuł o znamienym tytule „Nie ma przymusu nauki obcej kultury” stawia tezę, że „między dziećmi i ojcem nie było żadnych kontaktów, a stosunki między rodzicami uległy całkowitemu zamrożeniu, mimo to ojciec chciałby, aby dzieci w żadnym wypadku nie zapomniały o swoich polskich korzeniach...”

■ Big Boss

Wojciech Pomorski zawsze miał ułańską fantazję. Cechowały go ciekawość świata, upór i wysokie poczucie godności. Za noszenie orzełka w koronie, otwarte rozmowy o Katyniu, drukowanie podziemnej bibuły, wspieranie ojca w związkowej działalności i ogólna niepokorność wyrzucano go z kolejnych szkół

Wojciech Pomorski: – Przez osiem lat widziałem córki w sumie 16 godzin, wyłącznie pod nadzorem.

średnich. W małym Bytowie nie miał życia. Jako 19-letni chłopak wybrał emigrację do Berlina Zachodniego. Dostał azyl polityczny, a po dwóch latach niemieckie obywatelstwo ze względu na pochodzenie matki, która przed wojną urodziła się w niemieckim wówczas Bytowie. – Dowiedziałem się o tym z listu. Specjalnie o obywatelstwo nie zabiegałem, przynajmniej mi je w jakimś urzędzie w Berlinie, o czym nie miałem pojęcia, gdyż w tym mieście mieszkałem zaledwie dwa miesiące. Mam dwa obywatelstwa, ale gdyby postawiono mnie przed alternatywą, nigdy bym się nie rzekł polskim – podkreśla.

W 1992 r. zdobył swoje pierwsze mieszkanie. Początkowo pracował na czarno, za 15 marek mył podłogi w sklepach, układał kable na budowach. Potem znalazł zajęcie w szpitalu, spodobało mu się, postanowił zapisać się na kurs pielęgniarski i tam poznał byłą żonę. – Zakochaliśmy się w sobie, to była naprawdę wielka miłość. Kiedy się poznaliśmy, Tanja miała 16 lat, od razu chcieliśmy

wziąć ślub, ale to nie podobało się jej rodzinie. Postanowiliśmy poczekać trzy lata, aż skończy 19. Przeszła na katolicyzm, abyśmy mogli się pobrać w kościele. Byliśmy naprawdę szczęśliwi, półtora roku po ślubie przyszła na świat Justysia, dwa lata później Iwonka Polonia. Przeprowadziliśmy się do większego lokum, zdałem maturę w polskiej szkole przy konsulacie, potem rozpocząłem studia, najpierw na politologii w Szczecinie, następnie przenieśliśmy się na germanistykę na Uniwersytecie Śląskim. Planowałem nostryfikować dyplomy i pracować jako nauczyciel języka niemieckiego. To te studia rozwały moje małżeństwo – gdy ja jechałem w piątki, soboty i niedziele na zajęcia do Katowic, żona wsaadzała dzieci do samochodu i jechała do mamy. Tam ją nastawiano przeciw mnie, po tych wizytach zaczęła się zmieniać. Pamiętam jedno ze spotkań u teściów, żona kupiła mi w prezencie dużą, zieloną żabę, a oni się podśmiewali, że to Big Boss, robiąc aluzje do mojej osoby. Dla nich byłem jak piąte koło u wozu, za hardy jak na Polaka, za wysoko mierzyłem. Kłuta ich w oczy moja ambicja, bo ich życiowe aspiracje to zdobyć konkretny fach (ojczym żony był lakiernikiem samochodowym) i czytać „Bildzeitung” wieczorem.

Oglądamy zdjęcia z tamtych lat. Na jednym kruczowłosej pan Wojciech, dziś już szpakowaty, z żoną – szczupłą blondynką. Z przodu córeczki, starsza jak skóra rękawca z ojca, młodsza blondyneczka po mamie.

Do byłej żony, z którą rozwiódł się w 2005 r., nienawiści nie żywi, żal mu jej tylko, że stała się narzędziem w rękach innych. – Wiele razy próbowała się uniezależnić od swojej rodziny. Aż w końcu wygrali, ale czy to można nazwać wygraną? Nie chcę być źle odczytany, w Niemczech jak wszędzie żyją ludzie mniej lub bardziej otwarci. Podczas pracy w szpitalu miałem pacjenta Niemca, który uczył się polskiego, a inny starsuszek, też Niemiec, wychwalał dzielność naszych żołnierzy pod Monte Cassino. Z rodziną żony niestety wyszło inaczej i nic na to nie poradzę.

Z zeznań świadka Margarite D., 22 lutego 2007 r.: „Nadzorowałam dwa razy spotkania między panem Pomorskim a jego dziećmi (...). Ojciec na życzenie swoich córek zamówił pizzę. Starsza z córek Justyna przyniosła w sobotę dla swojego taty rysunek w technice kolażu. Dzień wcześniej ojciec przyniósł